TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENU[illegible]RATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i [illegible] $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Po[illegible]ki i Australii.................$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA [illegible] I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 52. Chicago, Ill., Czwartek, 29-go Grudnia, 1898. Rok XII.

FR. HOFFMAN.

GŁOS PANA NAD PANY.

OPOWIADANIE DLA MŁODYCH MOICH PRZYJACIÓŁ.

PRZEŁOŻYŁ.

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

(Dokończenie.)

Tak mówił ów głos do niego, a był to całkiem pewnie głos Pana nad Pany, bo głos sumienia jego. A mówił tak głośno, że nie mógł go Stefan nie usłyszeć. I nie dozwolił mu ten głos zasnąć — Stefan więc powstał, otworzył okno i począł spoglądać w górę tam do tych gwiazd odwiecznych, których połysk już nieraz ukoił serce jego, a do duszy wlał otuchę i pociechę.

I długi czas stał tak Stefan, spokojnie, nieporuszywszy się nawet. Okno, przez które spoglądał ku gwiazdom, wychodziło na niewielki ogród, jak urządzono przed pałacem. Raptem zdało mu się, jakby tuż zaraz pod jego oknem ktoś drzwi ostrożnie a po cichutku otworzył. Wychylił się więc cokolwiek z okna i spostrzegł przy migocącem światełku gwiazd jak dwie jakieś postacie z pałacu do ogrodu wyszły.

„Pójdź precz — mówiła jedna z owych postaci głosem stłumionym— ty złym jesteś bratem, bo chcesz na mnie nieszczęście sprowadzić. Zaprawdę powiadam ci Wilhelmie, ja ci już więcej dać nie mogę, więc dajże mnie pokój i nie przychodź tutaj prędzej, aż cię zawołam."

„Ha, to mógłbym długo czekać—odpowiedziała druga postać również cicho jak pierwsza.—Kiedy potrzebowałaś mnie, ażebym z garnituru powyciągał drogie kamienie, a powsadzał fałszywe, wówczas posyłałaś za mną i prosiłaś, a kiedy ja dzisiaj proszę cię o kilka talarów, to nie chcesz nawet i mówić ze mną i nie masz czasu."

"Pst! Na miłość Boga! cicho!—szepnęła pierwsza postać.—Może nas kto jeszcze pod słuchać!"

"Głupstwo, wszakże wszyscy śpią we wnątrz pałacu, a zresztą nie krzyczymy przecież tak jak nocni stróże! — odpowiedziała druga postać.—Krótko mówiąc moja Minetko, ty pomódz musisz. Potrzebuję koniecznie talarów sześćdziesiąt, jeżeli więc do jutra wieczora takowych mnie nie dostarczysz, poradzę sobie inaczej. Przecież wiem, gdzie ukryłaś dyamenty, a jeden kamień wystarczy, ażeby przyjść w posiadanie sześćdziesięciu talarów."

"Obłąkańcze! szalbierzu! przecież jutro niepodobnem jeszcze jednego z owych kamieni sprzedawać!—odpowiedziała pierwsza postać, jakkolwiek bardzo cicho, lecz widocznie już wzburzona.—Wszakże poznanoby ten kamień natychmiast więc i ciebie pochwyconoby. A jakie byłyby tego skutki, to wiesz przecie"

"No więc pomóż mnie! Ja pieniądze jutro mieć muszę!" odpowiedziała druga postać z uporem.

"Dobrze, zobaczę, może się da co zrobić —odpowiedziała pierwsza.—Jeżeli jutro wieczorem obaczysz białą chustkę, zawieszoną na mojem oknie, w takim razie około północy zbliż się do sztakiet. No, i teraz idź już Wilhelmie, bo gdyby ktoś się obudził i nas tu teraz obaczył, bylibyśmy zgubieni! Idź więc, idź—dobra noc!"

Wilhelm też dłużej nie upierał się. "Dobrze, więc jutro"—rzekł jeszcze. Poczem zaraz oddalił się, przebiegł ogród krokiem zaledwie dosłyszanym, przelazł następnie przez żelazne sztakiety i znikł za chwilę w ciemnościach nocy. Tak samo po cichutku zostały zamknięte drzwi na dole w pałacu i znowu cisza zapanowała w około. A Stefan odetchnął swobodniej i wzrokiem dziękczynnym spoglądnął w górę ku gwiazdom.

"O Panie! Boże mój! więc to ty przemówiłeś do mnie za pośrednictwem sumienia mojego — szeptał, przyciskając obydwoma rękami mocno bijące serce. — Dzięki ci łaskawy Panie, bo niewinna Marylka już jest wyratowaną!"

Jakkolwiek obydwie owe postacie rozmawiały bardzo cicho na dole, mimo to jednak każde słowo wypowiedziane przez nie doleciało do uszów Stefana, a każde było pełne znaczenia.

Na drugi dzień rano opowiedział Stefan bardzo szczegółowo młodemu hrabiemu to wszystko co w nocy widział i słyszał, a ten wysłuchawszy tego opowiadania z niemałem zdziwieniem, poczynił natychmiast potrzebne kroki, ażeby prawdziwych oszustów pochwycić i zdemaskować.

Wieczorem wisiała w rzeczy samej biała chustka w oknie Minetki, a hrabinie Matyldzie zginęło dwanaście luidorów z kasetki, do której dzień przedtem włożyła pieniądze. Około północy pojawiły się dwie postacie przy sztakietach żelaznych, zamieniały kilka słów pomiędzy sobą i rozeszły się szybko. Lecz zaledwie uszły kroków kilka, już je pochwyciła straż policyjna, którą w tym celu hrabia Otton zawezwał.

Niespodziane to pochwycenie i przestrach przeraziły tak winnych, że w tejże samej chwili przyznali się do wszystkiego. I tak Minetka zeznała, że to ona skradła potajemnie kluczyk od szafki, w której złożony był garnitur, podczas słabości hrabiny z kieszeni Marylki, że następnie ona zabrała ztamtąd ten garnitur i oddała go bratu swemu młodemu jubilerowi w celu przemiany kamieni. Dokonawszy tego, a pragnąc wszelki ślad zatrzeć, włożyła najmniejszy z pomiędzy skradzionych kamieni do woreczka i woreczek ten wsunęła na sam spód kufra Marylki, ażeby w ten sposób Marylkę obwinić.

Byłoby się więc wszystko bardzo dobrze udało, i kto wie czy kiedy prawdziwy stan rzeczy byłby się był wykrył, gdyby Stefan posłuszny napominającemu głosowi sumienia swego, nie był czuwał i podsłuchał tajemniczej rozmowy obojga winnych.

W końcu zeznała jeszcze Minetka, że tegoż samego dnia skradła hrabinie dwanaście luidorów, a dawniej mniejsze i większe kwoty. I w ten sposób udowodnioną została zupełna niewinność Marylki.

Radość opisać się niedająca napełniła serce Stefana i postanowił niespocząć dopóty, dopóki Marylka z więzienia wypuszczoną niezostanie. Hrabina Matylda zażądała również, ażeby niewinnie więziona natych-

miast wypuszczoną została na wolność, a urzędnik policyi niemiał choćby najmniejszego powodu sprzeciwiać się temu. Winnych więc odprowadzono i zamknięto w tejże samej kaźni, w której dotychczas więzioną była Marylka, a z której ją w tejże samej chwili jako zupełnie niewinną wypuszczono. Stefan pierwszy powitał wychodzącą z więzienia i zaprowadził uszczęśliwiony do pałacu hrabiego Windek.

Jakież miłe było dla nich to spotkanie! Stefan i Marylka płakali z radości, a i hrabina Matylda była również wzruszona obaczywszy Marylkę, której nie tylko oddała zaraz napowrót cały zarząd garderobą, lecz co więcej prosiła o przebaczenie. Ogólna radość zapanowała w całym domu, a najszczęśliwsi byli Stefan i Marylka. Marylka kiedy się dowiedziała, że tylko czuwaniu Stefana zawdzięcza swoje uratowanie, nie miała słów na podziękowanie, niemogła ukończyć dziękowań, aż jej w końcu Stefan musiał wzbronić.

"Cicho już, dość tego Marylko — mówił do niej Stefan — nie mnie dziękuj, ale jedynie wszechmocnem Ojcu w niebiesiech który przemówił do mnie za pośrednictwem sumienia mojego i nie dozwolił zasnąć. Ja bowiem chciałem cię już opuścić i chciałem zapomnieć o tobie, ale sumienie poczęło mi robić wyrzuty i dopóty niepokoiło, aż nie znalazłem środka za pomocą którego uwolnioną zostałaś. A więc nie mnie dziękuj, lecz raczej dziękujmy Panu, i Jego chwalmy, Jemu bowiem jedynie należy się wdzięczność."

Hrabina Matylda byłaby była bardzo chętnie przebaczyła Minetce i Wilhelmowi już raz że szczerze żałowali, już powtóre, że dyamenty zwrócone zostały. Wstawienie się jej jednak u sędziów pozostało bez skuku, ażeby sprawiedliwości zadość uczynionem zostało. Minetka więc i Wilhelm skazani zostali na lat kilka więzienia i odtąd Marylka i Stefan nic już o nich niesłyszeli. Odsiedziawszy bowiem karę więzienia, zniknęli gdzieś, a że niebyło powodu do badania co się z nimi dzieje, więc tylko należało spodziewać się i wierzyć, że po więzieniu i karze nastąpiła rzeczywista poprawa.

VI.

Jeszcze raz głos Pana nad Pany.

Kilka jeszcze tygodni zabawił młody hrabia Otton u siostry w stolicy, więc Stefan do syta mógł się nagadać z towarzyszką lat dziecięcych i opowiedzieć jej wszystko, co się tylko od chwili rozłączenia ich wydarzyło. Wkońcu jednak nadeszła chwila, w której musieli się rozłączyć Hrabia Otton bowiem odjeżdżał dalej, więc i Stefan musiał razem z nim udać się w drogę. Przejechali całą Szwajcaryę, Włochy, skąd pojechali do Francyi, ażeby dłuższy czas zamieszkać w Paryżu. A po drodze niemało radował się Stefan, że posłuchał rady starego Jeana i poduczył się trochę języka francuskiego. Nie tylko bowiem jemu było łatwiej porozumieć się z tamtejszymi mieszkańcami, lecz i hrabia niepotrzebował już trudzić się i sam załatwiać choćby najmniejszą rzecz z służbą hotelową. Była to prawdziwa niespodzianka dla hrabiego, kiedy przejeżdżając przez francuską Szwajcaryę usłyszał po raz pierwszy Stefana rozmawiającego z kelnerem po francusku.

"Co do kata, Stefanie — zawołał zdziwiony — a ty gdzie się tego języka nauczyłeś?"

Stefan opowiedział więc gdzie i jak, a hrabia kiwając głową rzekł zadowolony:

"To mnie się bardzo podoba. Tem lepiej wyjdziemy teraz. Nigdy jednak niebyłbym przypuszczał, że chłopak z pomiędzy poczciwej naszej dziatwy wiejskiej tak pilnie przykładać się będzie do nauki obcego języka! Bardzo dobrze zrobiłeś i bardzo się z tego cieszę!"

Podróżując dalej i używając tego języka, coraz bardziej wprawiał się Stefan i z każdym dniem lepiej nim władał, a kiedy po upływie roku przyjechali do Paryża mówił nim już niemal tak biegle, jak swoim własnym ojczystym. Pobyt w Paryżu dokonał reszty, to też za kilka miesięcy mówił już tak samo, jak rodowity Francuz.

Hrabia Otton zabawił w Paryżu pra-

wie rok cały, a stąd znowu pojechali do Londynu. Tu dopiero uczuł się Stefan zupełnie obcym, nieznał bowiem języka angielskiego, więc co chwila narażał się na jakieś niedogodności, co chwila miał do walczenia z jakiemiś przeszkodami. Wprawdzie zaraz po przybyciu do Anglii począł się Stefan mozolić, ażeby co prędzej nauczyć się tego języka, niemając jednak nauczyciela nauka szła jakoś ciężko, więc też i niczego bardziej serce jego niepragnęło jak tylko, ażeby jak najrychlej hrabia Otton opuścił ten kraj mglisty i powrócił do pięknej, słonecznej Francyi, albo do dawnej, ukochanej ojczyzny. Inaczej jednak stało się, aniżeli Stefan życzył sobie, a serce jego pragnęło.

Pewnego wieczora przyszedł do domu młody jego pan tak wzburzony i blady, że Stefan niemógł tego niezauważać. Przestraszył się bardzo, a wiedząc, że hrabia Oton należał do ludzi bardzo spokojnych, musiał od razu domyślić się, że spotkało go coś nader niemiłego i niezwyczajnego. Zapytać hrabiego nieośmielił się, więc tylko pilnie oczami śledził każdy ruch jego. Hrabia zdawał się nic niewidzieć, chodził szybko tam i napowrót po pokoju, cisnął gwałtownie kapeluszem i laską na ziemię, a od czasu do czasu szeptał w złości jakieś niezrozumiałe wyrazy. Chodził tak długo, aż nareszcie rozpłomieniony wzrok jego dojrzał Stefana

"A ty tu jeszcze Stefanie — mówił hrabia głosem stłumionym. — Możesz odejść, idź, idź zaraz! Ja cię bowiem całkiem niepotrzebuję, sam się dzisiaj rozbiorę! Idź, proszę cię i zostaw mnie samego!"

Stefan musiał usłuchać, odchodził jednak ociągając się i z sercem zaniepokojonem. Tuż zaraz za drzwiami zatrzymał się, lecz nie zwykła ciekawość kazała mu tutaj stanąć, ale cześć i współczucie jakie żywił dla młodego pana, którego rozdraźnienie i całe zachowanie się zatrwożyło go wielce. Stojąc pod drzwiami słyszał jak hrabia długo jeszcze tam i napowrót chodził po pokoju, aż nareszcie uciszyło się zupełnie w pokoju i niebyło tam słychać żadnego już chodu, i żadnego szelestu. Stefan przysunął się jeszcze bliżej i przyłożył ucho do samych drzwi i zdało mu się jakby słyszał lekkie trzeszczenie, które — zrozumiawszy coby znaczyć mogło — napełniło serce jego niewymowną trwogą. Serce niebiło już, ale tłukło się w piersiach jego, strach ogarniał go co raz większy, więc niewiedząc co począć, zajrzał przez dziurkę od klucza, ażeby dowiedzieć się, co się w pokoju dzieje, a to, co znowu tam obaczył przeraziło go jak najokropniej. Ucho niezawiodło go przed chwilą. Hrabia Otton stał przy stoliku, na którym leżała skrzyneczka z pistoletami, a więc owe trzeszczenie, które przed niedawnem słyszał, było to naciąganie kurków pistoletowych.

"Na miły Bóg, co się tu dzieje?" szeptał sam do siebie i przycisnął ręką tłuczące się serce które zdało mu się, że pęknie. "Ja muszę wejść do środka, i wejdę i rzucę mu się do nóg i będę go błagał, ażeby nie uczynił coś takiego, coby się sprzeciwiało przykazaniom bożym.

I poszedł Stefan za popędem serca i wszedł do pokoju i rzucił się do nóg panu swemu, a objąwszy rękami kolana począł go błagać.

"Przebacz! łaskawy Panie — błagał Stefan — niemogłem jednak tam za drzwiami dłużej pozostać! Pan zamierzasz dokonać coś strasznego! Błagam cię, nieosłaniaj się tajemnicą przed wiernym twoim sługą, który cię panie hrabio dziesięćkroć więcej kocha, aniżeli samego siebie!"

Hrabia Otton obaczywszy Stefana chmurzył czoło i spojrzał na niego groźnie, kiedy jednak przekonał się jak bardzo był Stefan przestraszony i że ocz jego łzy płynęły złagodniał nieco.

"Dzieciuchu — rzekł do niego — nie zamierzam nic strasznego. Oto kilku moich znajomych postanowiło urządzić jutro rano strzelanie z pistoletów, na które i ja zaproszony zostałem. I dla tego oglądam moje pistolety, ażeby się przekonać, czy im też czego nie brakuje."

"Nie, nie, panie hrabio! — odpowiedział Stefan—rzecz się ma zupełnie inaczej i tu o wcale co innego chodzi! Mam przekonanie, że tu chodzi o życie lub śmierć, że ma się odbyć pojedynek, bom jeszcze nigdy nie widział Pana tak wzburzonego jak dzisiejsze-

go wieczora."

"Trudno przeczyć, zgadłeś, w rzeczy samej ma się odbyć pojedynek—mówił hrabia Otton. — Jutro o godzinie szóstej rano będziemy się strzelać. W obecności bowiem mojej poważono się naigrawać z drogiej mi ojczyzny, a kiedym począł bronić tejże zbańbiono mnie okropnie. Nie ma więc innej rady, bić się musimy, i pojedynek musi się odbyć, jakkolwiek każden pojedynek jest mi wstrętnym i każden uważam za rzecz grzeszną."

"O Panie - błagał Stefan — nie idź tam jutro, mimo tego wszystkiego! Przypomnij sobie tylko na starego ojca swego i nie zapominaj, że śmierć twoja wpędziłaby i jego do grobu!"

"Cicho! dosyć już tego!—zawołał hrabia Otton rozkazująco.—Zastanawiałem się nad wszystkiem i o niczem nie zapomniałem, a jednak powziąłem takie postanowienie, bo inaczej być nie mogło. Obraza była śmiertelną, zelżono mój klejnot szlachecki, zbezczeszczono mnie samego, więc wolę umrzeć, aniżeli żyć nie pomściwszy się. I dla tego ani słowa więcej Stefanie! Odejdź zaraz! tak ci rozkazuję!"

Stefan odszedł wprawdzie, w żaden jednak sposób nie mógł się uspokoić, obawa i troska o pana niedozwalały na to. Długo z rozpaczy łamał ręce, gdy w tem promyk nadziei rozpogodził trochę oblicze jego.

"Tak, tak trzeba będzie zrobić, bo to go jedynie uratować może!—Szeptał Stefan—Bądź co bądź należy im przeszkodzić i niedopuścić do pojedynku! Należy więc dać znać zawczasu o wszystkiem policyi!"

Zaledwie nasunęła mu się ta myśl już ją pragnął w lot widzieć urzeczywistnioną. Więc o ile tylko mógł jak najciszej wysunął się z domu, ażeby hrabia Otton nie usłyszał i pospieszył do najbliższeł stacyi policyjnej, gdzie wszedłszy prosił o pozwolenie pomówienia natychmiast z naczelnikiem stacyi. Jakkolwiek godzina była już późna, wpuszczono go jednak do naczelnika, któremu w krótkości opowiedział Stefan co go spowodowało tutaj przyjść i w końcu prosił, ażeby tenże rozkazał poczynić wszystko czego potrzeba, ażeby tylko przeszkodzić zapaśnikom i niedozwolić tymże pojedynkować się.

"Czy pan wasz wie o tem, żeście do mnie poszli?" zapytał urzędnik, który z całym spokojem opowiadania Stefana wysłuchał.

"Nie, Panie!"—odpowiedział szybko Stefan—i wierzę, że gdyby się tylko domyślał tego, natychmiast mnieby ze służby wydalił. Wierzę, że takby się stało, a jednak inaczej zrobić nie mogłem, bo wolę raczej wyciągać rękę o kawałek chleba po ulicach, jak bezczynnie siedzieć wówczas, kiedy mojemu panu zamierzają życie odebrać."

"Jak widzę jesteście do swego pana bardzo przywiązani!"—rzekł urzędnik.

"O tak panie — odpowiedział Stefan — całem sercem przylgnąłem do niego. Dobry to bowiem, bardzo dobry pan!"

"Kiedy tak, bądźcież więc zupełnie spokojni o niego—rzekł urzędnik przyjaźnie.—Bo zanim tutaj przyszliście, byliśmy już o tej sprawie zawiadomieni i poczynili wszystko, co tylko uczynić należało. Nie chodzi tu o pojedynek, lecz zupełnie o co innego. Wezwania na pojedynek użyto, ażeby tylko pana waszego wyprowadzić o pewnej godzinie z domu. Owi ludzie, którzy go zhańbili, są policyi aż nadto dobrze znani, są to hultaje i nicponie, którzy tylko w kawiarniach odgrywają rolę dostojnych i majętnych panów. Od dłuższego już czasu mieliśmy ich na oku, a jeden z naszych agentów dowiedział się o planie, którego ofiarą miał stać się wasz pan. Plan ten udało im się dotychczas już w połowie wykonać, a mianowicie oburzyć waszego pana i w ten sposób zmusić go, ażeby wyzwał ich na pojedynek. Hultaje ci, co się samo przez się rozumie, prsypuszczali, że pan wasz jutro rano o oznaczonej godzinie opuści mieszkanie i wraz ze swoim służącym uda się na miejsce, które wybrano do strzelania. W razie zaś, gdyby was pozostawił w domu nie trudnoby im było z jednym dać sobie radę. Hultaje bowiem ci nie zamierzali wcale udać się za wami również na plac pojedynku, lecz wówczas to właśnie w chwili, kiedy pomieszkanie byłoby było niestrzeżone przez nikogo, zamierzali wpaść do niego i pozabierać wszystkie kosztowności. Plan, jak widzicie został wcale nie źle obmyślany, pan

bowiem wasz zna tych hultajów tylko z widzenia i z fałszywych nazwisk, jakie przybrali i pod jakiemi mu się przedstawili, więc i trudnem bardzo po dokonanej kradzieży byłoby było dla niego odszukanie w wielkim Londynie tych hultajów. Ale jak powiedziałem, my w czas jeszcze dowiedzieli się o wszystkiem, więc jutro rano hultaje zamiast hulać za skradzione kosztowności rozpoczną pokutę w więzieniu. Idźcie spokojnie do domu i nie troszczcie się o nic bo oko policyi czuwa nad wami!"

Stefan zdziwił się niemało, usłyszawszy te wszystkie szczegóły od naczelnika stacyi policyjnej i zdało mu się jakoby jakiś ciężar straszny spadł z serca jego. Pozbył się wszelkich obaw, odetchnął swobodniej i zawołał uradowany:

"Szczególna to hultajska historya! Lecz jakżem szczęśliwy, żem się udał do Pana! Z całej duszy dziękuję panu za to uspokojenie i upewnienie! Tylko czy wolno mi powtórzyć to wszystko mojemu panu?"

"Ależ naturalnie, ja życzę sobie nawet tego — odpowiedział urzędnik. — Proście jednakże zarazem w imieniu mojem swojego pana, ażeby o oznaczonej godzinie wraz z wami wydalił się z mieszkania. Jestem bowiem pewny, że hultaje w sąsiedztwie czatować będą, więc niewydalenie się hrabiego wzbudziłoby w nich podejrzenie. Nam zaś bardzo wiele zależy na tem, ażeby hultajów pochwycić na gorącym uczynku, i w następstwie tego z całą surowością ukarać. Wszak zrozumieliście mnie?"

"Zrozumiałem i wypełnię zlecenie Pańskie jak najakuratniej — odpowiedział Stefan. — Raz jeszcze dziękuję Panu za dobroć Pańską jak najserdeczniej!"

Poczem zaraz oddalił się z biura i powrócił uradowany i zupełnie uspokojony do mieszkania. W pokoju hrabiego dostrzegł jeszcze światło, skorzystał więc z tego i wszedł do środka.

"Nic z pojedynku panie hrabio — wołał radośnie wchodząc. - Dzięki Bogu, wiem już o wszystkiem, pojedynek i tak niebyłby się był odbył bo ci chytrzy hultaje zamierzali pana tylko okraść!"

Hrabia Otton spojrzał na służącego wielkiemi oczami.

"Stefanie czyś ty oszalał, czy też upiłeś się?" zapytał.

"Ani jedno, ani drugie," odpowiedział Stefan i począł hrabiemu opowiadać wszystko, co tylko w policyi usłyszał.

Hrabia Otton zdziwił się niemało, a jeszcze bardziej oburzył. Dostało się więc najprzód Stefanowi, że się poważył mięszać do spraw nie swoich, bardziej jednak złościło to hrabiego, że dał się wywieść w pole szajce hultajów.

"Dobrze więc — rzekł w końcu hrabia — uczynimy tak, jak radził i życzył sobie urzędnik policyi i wydalimy się jutro rano obydwa z domu, niebawem jednak powrócę, ażeby się przekonać czy hultaje ci są ci sami, którzy wczoraj zaprezentowali się bezczelnie jako szlachta. Opryszki! Obecnie kiedy już znam ich plan pojmuję także dlaczego oni tak bardzo rozdraźnić mnie chcieli! W rzeczy samej plan bardzo sprytnie obmyślany i dlatego szczerze zobowiązany jestem owemu urzędnikowi policyi, który potrafił go zniweczyć. W sposób też zupełnie odpowiedni, tak jak na to zasługują, winni ci hultaje jutro tutaj być przyjęci. Godzina jednak już zbyt późna, odejdź więc Stefanie i połóż się, ażebyś odpoczął, jutro bowiem raniutko musimy być na nogach!"

I pan i służący udali się na spoczynek ani domyślając się jaka okropna rzecz miała się wydarzyć zaraz rano.

Na drugi dzień rano równocześnie kiedy zegar bił godzinę piątą hrabia Otton i Stefan wyszli z mieszkania i wsiedli do wózka, dzień przedtem w tym celu zamówionego. Szybko odjechali z miejsca, lecz zaledwie przejechali ulic kilka rozkazał hrabia woźnicy stanąć i zapłaciwszy takowego zawrócił z Stefanem do domu. Powrócili właśnie w chwili, kiedy uzbrojona straż policyjna zamierzała wcisnąć się do mieszkania. Urzędnik, z którym Stefan wczoraj rozmawiał pozdrowił ich.

"Mamy hultajów, wleźli już w zastawione sidła — mówił urzędnik do hrabiego. — Ty jednak panie hrabio zrobiłbyś bardzo dobrze, gdybyś żechciał stąd odejść. Muszą to być bowiem wielcy hultaje i niezawodnie chwycą za broń."

"Tem bardziej więc powinienem być po-

mocnym panom wszak tu chodzi o moją własność — odpowiedział hrabia. — Pozwól nam Pan tylko wejść do środka."

Urzędnik nieopierał się dłużej, i natomiast począł wydawać rozkazy. W okamgnieniu wysadzono drzwi, a pomiędzy wciskającemi się do wnętrza hrabia Otton był pierwszy. Przerażeni hultaje, którzy dotychczas sekretarzyk już byli rozbili i szuflady w tymże wypróżniali, osłupieli z przestrachu. Nietrwało to jednak długo. W tejże bowiem samej chwili, w której urzędnik policyi zawołał do strażników: pochwyćcie ich! zatrzeszczały pistolety, a hrabia Otton jakby piorunem rażony, upadł na ziemię. I rozpoczęła się walka, z której wprawdzie zwycięzko wyszła straż policyjna, ale po ukończeniu której przekonano się, że hrabia Otton nie żyje. Kuba pistoletowa trafiła go w same czoło. Zrozpaczony Stefan ukląkł przy zwłokach swojego pana, niewiedząc co czynić.

"Poczekajcie złodzieje i mordercy, za tę krew zapłacicie drogo! — zawołał urzędnik do hultajów, którym teraz zakuwano ręce i nogi. — Drabów tych odprowadźcie zaraz do dobrego schowku, a wy — mówił dalej zwracając się do Stefana — pomożecie mi zrobić porządek z spuścizną po waszym panie. Natychmiast musimy to wszystko opieczętować i sąd o tem co tu zaszło uwiadomić."

Poczem zaraz wydane zostały odpowiednie potemu rozporządzenia. I kiedy Stefan gorącemi zalewał się łzami opłakując śmierć młodego swego pana, urzędnicy sądowi opisywali spuściznę pozostałą po nim, a uporawszy się z tem polecili Stefanowi, ażeby z tych miejsc oddalił się, gdyż odtąd tak o pogrzeb jak i wszystko inne sąd staranie mieć będzie. Stefan sprzeciwiał się wprawdzie temu, nadaremnie jednak, wypchnięto go na ulicę i biedak niewiedział gdzie iść, co robić i z czego żyć dalej.

Do głębokiego i szczerego żalu za młodym panem połączyła się obecnie ciężka troska o jutro o przyszłość i długo stał Stefan przed mieszkaniem pana swego, do którego niewolno mu było już powrócić.

"Dobry Bóg dopomoże mi przecie," szepnął po chwili, raz jeszcze spojrzał wzrokiem załzawionym na okna mieszkania drogiego nieboszczyka i poszedł dalej, ażeby poszukać jakiego przyzwoitego zajęcia. Na szczęście miał przy sobie trochę pieniędzy, więc przynajmniej najęcie maluchnego mieszkania, w którem mógłby przez ten czas mieszkać, zanim znajdzie zajęcie, nienastręczało trudności.

Mimo to jednak położenie Stefana było bardzo przykrem. Tych bowiem kilka gwineów niemogły na długo wystarczyć i tak samo niewystarczały na powrót do kraju, a na jakikolwiek spadek po zabitym panie niemógł również liczyć. Urzędnik bowiem sądowy powiedział mu całkiem chłodno: "Jeżeli jakie pretensye macie do nieboszczyka, w takim razie udajcie się z niemi do krewnych zmarłego."

Niepozostawało więc Stefanowi nic innego, jak o wszystkiem donieść sędziwemu ojcu hrabiego Ottona i tego prosić o zapomogę. I tak też uczynił, napisał długi list do hrabiego Waldenburga i wyczekiwał cierpliwie odpowiedzi.

A tymczasem niepróżnował i niezaniedbał niczego, ażeby znaleźć jakąś służbę. Zabiegi jednak wszelkie były daremnymi, liczba gwineów z każdym dniem zmniejszała się coraz bardziej, odpowiedź z kraju nienadchodziła również i biedny Stefan bliskim już był rozpaczy. Co się tu z nim, niewładającym dobrze językiem angielskim stanie, w tym obcym kraju, zdala od swoich, bez przyjaciół, bez pieniędzy, a nawet bez widoków na pomoc?

Nareszcie zdało się, jakoby promyk szczęścia uśmiechnął się do niego. Mr. Brown bowiem, ów znany mu urzędnik policyjny napotkawszy go dnia pewnego na ulicy, zagadnął go, a dowiedziawszy się o smutnem położeniu, w jakiem się znajduje, polecił właścicielowi biura stręczeń, a ten znowu staremu jegomościowi, który mieszkał samotnie na przedmieściu i potrzebował służącego.

"Dziwak to stary, — mówił stręczyciel do Stefana,—nikt tam długo u niego nie wytrzyma, ale przynajmniej przez czas jakiś będziesz miał utrzymanie mój poczciwcze, a pośród tego może się znajdzie coś lepszego."

Stefan był i z tego zadowolony, pobiegł więc coprędzej do owego domu na przedmieściu, gdzie zastał starego jegomościa odzianego w brudny szlafrok, który go nietylko chłodno, ale nawet bardzo jakoś niechętnie przyjął. Jegomość ów nie podobał mu się i tak samo całe jego otoczenie, mimo to jednak oddał mu list polecający. Stary czytał ten list długo i z wielką uwagą.

"Dobrze—rzekł po francuzku. — Ja potrzebuję w rzeczy samej służącego, który nie wiele umie po angielsku, bo tylko taki nie potrafi nic wypaplać. Przyjmuję cię więc na próbę na cztery tygodnie. Za ten czas nie dostaniesz żadnej płacy, tylko wikt i mieszkanie, a po czterech tygodniach obaczymy."

"Panie Thomson Dobrodzieju, mówił Stefan wachając się—możeby choć malutką jaką...

"Tu są drzwi, jeżeli się warunki moje nie podobają —przerwał stary szorstko. — Chcesz zostać, dobrze, a nie, to się wynoś!"

"Zostanę już!" westchnął Stefan, bo i cóż innego miał robić?

"A więc dobrze, jutro o dziewiątej rano masz przyjść tutaj. Adieu."

Całem tem szorstkiem obejściem był Stefan tak dziwnie pomięszany, że ukłoniwszy się nie wychodził, ale raczej cofał się, gdy w tem przeraźliwe jakieś wycie rozległo się po pokoju. Stefan cofając się nastąpił na nogę mopsa i ten to właśnie zawył tak przeraźliwie.

Trutniu! błaźnie! niezgrabiaszu!—wrzasnął stary, — czy nie masz óczː gdzieś je podział bydlę? Wynoś się gałganie! Takiego bałwana nie mogę przyjąć do służby. Wynoś się co prędzej i nie wracaj nigdy!"

Nadaremnie tłumaczył się Stefan. Z ust starego lał się istny potok słów łżywych, a w końcu zagroził mu stary i kijem jeszcze. Co więcej mops pochwycił go za nogę i zaczął targać, trzeba więc było coprędzej umykać.

Stefan wybiegł na ulicę, a łzy żalu i zwątpienia spłynęły na blade policzki jego.

Stracił całą odwagę i stracił nadzieję. Nie wiedząc co począć błąkał się po ulicach aż do samego wieczora. Głód począł mu okropnie dokuczać, zaszedł więc do garkuchni i usiadł w kącie. Po chwili przyniesiono mu na żądanie chleba i piwa, i zabrał się do jedzenia i picia nie spoglądnąwszy nawet na swoje otoczenie. Jedni goście przychodzili, drudzy wychodzili, a po niejakim czasie wypróżniała się garkuchnia i Stefan pozostał sam jeden. Długo sam siedział zamyślony, gospodarz chciał go już nawet wyprosić, kiedy raz jeszcze rozwarły się drzwi i dwóch bardzo przyzwoicie ubranych weszło gości. Ci zażądali natychmiast jadła i wina, a co znowu posłyszawszy gospodarz zapomniał o niemym gościu w ciemnym kącie.

Raptem zbudził się Stefan z zadumy. Obydwa bowiem przybyli rozmawiali po francuzku, i tak głośno, że Stefan nie mógł nie słyszyć tego, o czem mówili. Przedmiotem zaś rozmowy był stary Thomson, którego przybyli postanawiali obrabować i to niezwłocznie.

"Tak zrobić musimy!—mówił jeden z owych gości—i to natychmiast. Policya czycha na nas odkąd umknęliśmy z więzienia. Więc nie ma innej rady tylko zaopatrzyć się w pieniądze i dalej za morze. A sposobność nadarza nam się bardzo dobra, bo stary siedzi dzisiaj sam tylko z przebrzydłym mopsem, więc nas dwóch prędko się z nimi upora."

Drugi nie sprzeciwiał się wcale temu, lecz owszem zgadzał na wszystko, a pośród tego nadszedł gospodarz i przyniósł wino a dalsza rozmowa została przerwaną. Stefan wychyliwszy się nieznacznie z po za stołu począł obydwóm owym jegomościom dobrze przypatrywać się i przekonał się, że to ci sami, którzy przed kilkoma tygodniami do mieszkania nieszczęśliwego jego pana zakradli się.

Co więc miał czynić teraz?

Ani wątpić było można, że hultaje ci zamierzają obrabować Mr. Thomsona, który go dzisiaj rano zhańbił i z domu wygnał. Więc mógłże go obchodzić ten człowiek w tej chwili? Wartoż było narażać swoje życie za człowieka, który go dopiero dzisiaj rano obraził? Miałże się troszczyć o starego Thomsona i przebrzydłego jego mopsa? Niech się z nami dzieje co chce! Stefan nie zamierzał wcale spieszyć na obronę. Co więcej nie chciał nawet słyszeć, co się z ni-

mi stanie.

"No panie, godzina już bardzo późna!" zagadnął gospodarz.

"Tak, tak—odpowiedział Stefan—ja też zaraz odejdę."

A jednak trudno mu było jakoś ruszyć się z miejsca, bo w piersiach jego zawrzał teraz bój. Myślą ścigał obydwóch hultajów i widział jak szli ciemnemi ulicami, — jak się zakradali do domu Thomsona—jak opadli starego—co więcej może nawet zamordowali—i porwał się w tej chwili z miejsca. Ależ nie! on cię przecie tak dotkliwie obraził i tak szorstko traktował!" wołało coś do nięgo i znowu usiadł na tem samem miejscu. "Niech się teraz przekona, co to znaczy siedzieć samemu, niech sobie poradzi z hultajami!"

I starał się myśl czem innem zaprzątnąć a wołanie owe przytłumić. Nadaremnie jednak. Bo wrzała walka w piersiach, która go coraz bardziej niepokoiła, a na myśl nasunął się ów ustęp z biblii, kiedy był chłopięciem często mu powtarzano, a który następnie zapomniał.

I szeptało coś w wnętrzu piersi jego: "Miłujcie swoich nieprzyjaciół, błogosławcie tych, którzy was przeklinają, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i proście za tymi, którzy was obrazili i prześladują!"

Napomnienia tego nie mógł się już pozbyć, dziwny jakiś niepokój wyrył się na obliczu jego, a gospodarz, który od kilku minut nie spuszczał oka z niego, pokiwał głową.

'Panie—zagadnął tenże—wy wyglądacie zupełnie tak, jak gdyby obecnie toczyła się w piersiach waszych straszna walka dobrego ze złem. Nie dajcie się oślepić szatanowi, lecz idźcie za głosem Pana nad Pany!"

"Głosem Pana nad Pany? — zawołał Stefan. Co wy pod tem rozumiecie?"

"No, a cóżby innego jak głos Boga, który przemawia do nas za pośrednictwem sumienia naszego—odpowiedział gospodarz. — Wierzajcie mi głos ten nigdy nie myli!"

"Tak, tak, to w rzeczy samej był głos Pana nad Pany!—zawołał Stefan — i będę mu posłusznym!"

I powziął w tej chwili postanowienie. Tych kilka słów, które gospodarz wypowiedział wdarły się jak błyskawica do duszy jego i wygnały ztamtąd wszelką chęć zemsty. Nie umiejąc dobrze po angielsku jak mógł i potrafił tak opowiedział gospodarzowi to wszystko, co usłyszał przed niedawnem, a zarazem dodał, że zdecydował się spieszyć na pomoc Mr. Thomsonowi.

"Ja pójdę z wami!—odpowiedział zacny gospodarz. — Weźcie ten kostur, dobra to będzie broń na nich! Ja wezmę drugi taki! A teraz dalej w drogę, ażebyśmy za późno nie przyszli!"

Wyszli coprędzej, gospodarz zamknął drzwi i szybko podążali ciemnemi ulicami. Zaledwie minut kilkanaście upłynęło, kiedy stanęli przed mieszkaniem Mr. Thomsona. Cisza panowała wszędzie, Stefan ruszył klamką i przekonał się, że drzwi były zamknięte. Natomiast niebawem przekonał się, że jedna okiennica była odśrubowana, odchylił więc takową i obaczył okno otwarte.

"Tędy wdarli się do środka! — szepnął. — Dalej więc za nimi!"

I po cichu wlazł przez to okno, a tuż za nim właściciel garkuchni. Promień, który się przedarł przez szczelinę, służył im za przewodnika. I również po cichu otworzyli drzwi, poczem zaraz przedstawił im się następujący widok. Mr. Thomson siedział w wielkiem krześle z poręczami, ręce i nogi miał do tych poręczy przywiązane, usta zakneblowane, a nieopodal leżał na ziemi mops z roztrzaskaną głową. Hultaje zaś klęczeli przed rozbitym kufrem i tak byli zajęci wydobywaniem tego, co się we wnętrzu kufra znajdowało, że nawet nie spostrzegli wchodzących.

"Teraz na nich—szepnął Stefan do właściciela garkuchni.—Jedno uderzenie kosturem w głowę oszołomi ich i odda w nasze ręce!"

I podnieśli równocześnie kostury, a zaraz potem rozległ się przeraźliwy jęk i obydwa hultaje upadli na ziemię. Nie upłynęło pięć minut, a już byli powiązani, Mr. Thomson zaś uwolniony z więzów.

Uwolniony z więzów nie mało zdziwił się, kiedy w jednym z obrońców poznał tego samego młodego człowieka, którego dzisiaj rano tak szorstko traktował, a nadto

jeszcze i zelżył. A kiedy właściciel garkuchni pospieszył ażeby przywołać straż policyjną i tej obydwóch hultajów oddać, opowiedział znowu Stefan Mr. Thomsonowi, gdzie i kiedy podsłuchał hultajów, jak właściciela garkuchni w ich plan wtajemniczył i jak wskutek tego na pomoc podążyli. Mr. Thomson widocznie zawstydzony powstał z miejsca wysłuchawszy opowiadania i podał Stefanowi rękę.

"Sir, czy możecie mi przebaczyć?—pytał Mr. Thomson.—Jam tak haniebnie obszedł się z wami, a wy się tak pięknie i szlachetnie odpłacacie i ratujecie całe moje mienie! Zacne macie serce Sir i dla tego proszę was, przebaczcie mi!"

"Ależ chętnie, jak najchętniej przebaczam — odpowiedział Stefan i uścisnął rękę Mr. Thomsona. — Zanadto korzystnie sądzisz Pan o mnie, jam tylko zwykły i posłuszny sługa Pana nad Pany!"

A podczas tego powrócił właściciel garkuchni z strażą policyjną, która niebezpiecznych zbrodniarzy zabrała a sam zaraz potem odszedł do domu. Stefan zaś ulegając usilnym prośbom Mr. Thomsona pozostał u tegoż, ażeby resztę nocy z nim razem przepędzić.

Stary, którego przestrach jeszcze bardziej osłabił zasnął rychło, a Stefan długo jeszcze siedział przy łóżku jego i myślał o wydarzeniach dnia dzisiejszego i dziękował Panu nad Pany z głębi duszy, że mu dał serce posłuszne napomnieniom Jego.... Smutne położenie Stefana zmieniło się odtąd. Mr. Thomson bowiem niepozwolił mu już odejść i obchodził się z nim jak z przyjacielem, a nie jak ze służącym. Z ojczyzny nadszedł również list, w którym stary hrabia Waldenburg przysłał mu pieniądze a zarazem ofiarował dobrą posadę w zamku, jeżeli z Anglii powróci. O matce doniósł mu hrabia także, że jest zdrową i że go jak najczulej pozdrawia.

Chętnie bardzo, byłby Stefan przyjął ofiarowaną mu posadę u hrabiego, Mr. Thomson jednak wskutek owego nocnego napadu co raz więcej zapadał na zdrowiu, poczciwe więc serce jego niedozwalało mu chorego opuścić prędzej, aż znacznie pozdrowieje. A tymczasem Mr. Thomson miasto pozdrowieć z każdym dniem co raz bardziej zapadał, aż w końcu w niespełna rok po dopiero co opowiedzianych wypadkach zasnął na wieki na rękach Stefana.

Od tej chwili nic już więcej Stefana do Anglii nie przykuwało, jak tylko jeszcze prośba pełnomocnika Mr. Thomsona, który go najuprzejmiej prosił, ażeby się zatrzymał dopóki pogrzeb się nieodbędzie i testament otwarty niezostanie. Idąc za popędem serca Stefan byłby i bez tej prośby odprowadził zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku. Odprowadził więc zwłoki na to miejsce, uronił łzę na grobie i poszedł potem do biura pełnomocnika, ażeby być przytomnym przy otwarciu testamenut. I tu z niemałem zdziwieniem dowiedział się, że Mr. Thomson zrobił go spadkobiercą znacznej części swojego majątku a i poczciwego właściciela garkuchni również sowicie obdarował.

Odziedziczywszy tak znaczny majątek i błogosławiąc pamięci zmarłego wsiadł na okręt, ażeby powrócić do ojczyzny. Tutaj zastał matkę czerstwą i zdrową, która się z radości rozpłakała, kiedy go obaczyła. A i dodawać niepotrzebuję, że te łzy radości niezamieniły się na łzy żalu, kiedy dowiedziała się o spadku jaki odziedziczył po zmarłym Mr. Thomsonie.

I niepomyślał nawet odtąd Stefan, ażeby raz jeszcze z ojczyzny wyjeżdżać, a natomiast kupił ładną posiadłość nieopodal Waldenburga i tam pracując pilnie, żyje szanowany i kochany od wszystkich. Matka staruszka mieszka przy nim, a towarzyszka z lat dziecięcych Marylka jest kochającą i wierną żoną jego. I często odpoczywając po pracy rozmawiają o przeszłości i dziękują Panu nad Pany, że tak dobrze nimi pokierował.

"To głos Jego wskazywał nam zawsze drogę do dzisiejszego naszego szczęścia — powtarzał już nieraz szczerze wdzięczny Stefan. — Jakto dobrze, żeśmy niezatykali uszów przed tym głosem i zawsze byli mu posłuszni!"

A ty miły mój czytelniku, jeżeli do ciebie przemówi głos Pana nad Pany, czy nieodwrócisz ucha i pozwolisz mu wnijść do serca twego? Nieobawiamy się, ażebyś tak niemiał postąpić, bo tylko ten, kto słucha Pana nad Pany, może być prawdziwie szczęśliwym!

KONIEC.

SPOTKANIE.

KROTOCHWILA W JEDNYM AKCIE ZE ŚPIEWAMI Z FRANCUZKIEGO, PP. CABOT FALLAIS I LETARGĘ.

(Dokończenie).

ŚPIEW NUMER V.

Herkules.

Ach brawo, przybliż się,
Opiekę przyjmuj moję!—
Stańmy tu na tej stronie,
Przed zgrają cię obronię.
Tak ja obronię.
Zabiję, kto się zbliżyć śmie!
Wierzaj mi że serc dwoje
I szatan sam nie przestraszywie!

(chce ją przycisnąć.)

Julia *(wyrywając się lekko.)*

Ach! ja w odwagę twoję wierzę,
Lecz w śmiałości mojej brak,—
Powiedz mi tylko powiedz szczerze,
Czy to nie jest to za blisko tak?..

Herkules.

Ach brawo! Ach brawo przybliż się itd.

Julia.

Nie wiem co się ze mną dzieje, ale mi jakoś nie dobrze....

Herkules *(przeprowadza ją na prawo.)*

Usiądź pani na ławce przed moim domem, — spocznij trochę... tu musi być cokolwiek cieplej: bo moja ławka jest od południa. (*sadza ją.*)

Julia.

Dziękuję panu! (*n. str.*) Boże co mi jest? (*mdleje.*)

Herkules.

Masz tobie!... zemdlała!... Co za głupstwo!.. mdleć teraz o tej godzinie!... Bardzo ładna, ale, czem ją tu otrzeźwić? ha! podobno ścisnąć nad łokciem rękę... Ah, bransoletka z jakimś medaljonikiem! Co to być może? — żeby nie zginęła. (*zdejmuje jej z ręki bransoletkę.*) Nie jestem wcale ciekawy, ale jednak radbym się dowiedzieć, co to za pamiątka, i od jakiego szczęśliwego śmiertelnika (*ściska Julię za rękę.*)

Julia *(przychodząc do siebie.)*

Ah!....

Herkules *(chowa bransoletkę do kieszeni.)*

Przychodzi do siebie, oddam jej później!...

Julia.

Patrzcież zemdlałam! oh te krzyki, strach!

Herkules.

Czy lepiej?

Julia.

Dziękuję panu.

Herkules.

Uspokój się panna, to nie złodzieje... to jakaś wesoła młodzież pokłóciła się z brukiem ulic.

Julia *(wstawszy, przechodzi na lewo.)*

Ach jeżeli tędy przechodzieć będą?

Herkules *(patrząc w głębią.)*

Nie, już są daleko. Posłuchaj mnie panna pomówmy ze sobą, jak przyjaciele. Panna zdajesz się być dobrą i godną istotą.

Julia.

A pan uczciwym i zacnym człowiekiem, chociaż komorne.....

Herkules.

Dzisiaj najpoczciwsi nie płacą komornego, nie przestając być dla tego uczciwymi ludźmi. Każdy czyni co może. Jeżeli pani zgodzisz się na to, dla zabicia czasu, powierzymy sobie wzajemnie nasze małe skrytości. Zacząwszy od naszych nazwisk. Jak imię pani?

Julia. *(po pauzie.)*

Julia!

Herkules.

Julia! ładne imię!.... i niepodobna, aby osoba, która je nosi....

Julia.

Domyślam się reszty i powiem panu.

SPIEW No. VI.

Julia.

Chcesz wiedzieć, kto jest dziewcze hoże?
Zalotną cokolwiek być może....
Powiedzą ci to dziewczę ceń,
Bo życie jej jasne jak dzień!

Nie dla mnie są drogie kamienie,
Nie dla mnie jedwabne odzienie,
Bóg w sercu najdroższy skarb dał,
Posiadać go niejeden chciał!
Lecz nie łatwo w skarb jedyny,
Biednych obdarza,
A gdy serca chcesz dziewczyny,
Stań u ołtarza!

Ah, Ah, ah, wiarę ci za wiarę da...
Taka wiecznie trwa!
Gdy pracą rąk mych się przystroję,
Spokojno wesołe dni moje,
Nie zmienię ich na świetny dar,
Bo jego blask to brzemię kar.
Nie dla mnie jedwabne odzienie itd.

Herkules. *(biorąc ją pod rękę.)*

A więc jakżeż jest panny imię prawdziwe?

Julia.

Muszę zamilczeć przed panem, z powodów, których nie mogę wyjawić! *(siadają na ławce.)*

Herkules.

Ah domyślam się!.... jakaś miłość nieszczęśliwa, jakiś nędznik.... trzeba go było....

Julia.

Nie rozumiem pana....

Herkules. *(na stronie.)*

Udaje naiwną,—a medalion!

Julia.

Albo raczej nie chcę pana rozumieć.... i proszę zaprzestajmy rozmowy o tym rozdziale.

Herkules.

Wybornie! nie mówmy o tym rozdziale w którym istotnie nastąpił rozdział dwóch serc; ale niepodobna panienko, ażeby w twoim wieku, uczucie nie przemówiło na korzyść jakiego przyjaciela.... może opiekuna.... ale na tę ostatnią myśl drżę cały! Okropnym jest rodzaj opiekunów, jednak cokolwiek bądź, dowiem się, proszę liczyć na moje milczenie!.... Tak jestem milczącym jak kret!

Julia.

A więc na dowód mojej ufności zupełnej wyznam panu, to mi ulży cokolwiek.

Herkules.

Tak—bo ciężar spadnie na mnie, czuję to.

Julia.

Kochałam.

Herkules. *(na stronie.)*

Masz tobie!

Julia.

Raz tylko, ale już bardzo dawno.

Herkules.

A więc panno Julio... czy nie Julio.... znowu jesteśmy na tym samym wózku. — I w moich męzkich piersiach serce zadrgało raz tylko miłością.

Julia.

W dzień ślubu mój narzeczony znikł.

Herkules.

To tak jak moja narzeczona.

Julia.

Wyjechał do Bruksellі.

Herkules.

Pojechała nie wiem gdzie, — ale także podobno w tę samą stronę.

Julia.

Przysiągłam zapomnieć niewiernego.

Herkules.

Powiedziałem sobie, że już nigdy nie pomyślę o niewdzięcznej, która uleciała, jak kanarek, gdy mu klatkę otworzą.

Julia.

Jesteś pan pewnym tego?

Herkules.

Zacny przyjaciel, udowodnił mi listem że byłem głupcem.

Julia.

Ja nie mam sobie nic do wyrzucenia!

Herkules.

Ja mam jej wiele do wyrzucenia.... I nie widziałaś go więcej?

Julia.

Nigdy.

Herkules.

Lecz jeśli mi nie chcesz powiedzieć twojego imienia, powiedz mi przynajmniej zkąd jesteś?

Julia.

Zkąd? Z Sens z Burgundyi!

Herkules *(wstając:)*

Z Burgundyi?! byłem tego pewny!. bo ja uwielbiam wszystko, co jest rodem z Burgundyi.

Julia.

Ale skąd to wzruszenie?

Herkules *(na stronie:)*

A do kroć milionów!. to historyjka podobna, jak dwie krople wody. — nie, wina, do mojej awanturki! Zobaczmy ten medalion! (*zbliża się do latarni i wybucha śmiechem:*) Pamiątka odemnie!.—taż sama. Ah! wolałbym, żeby piorun uderzył, — nie we mnie,—ma się rozumieć!.. Nie śmiem spojrzeć na nią wprost... popatrzę z pod oka. (*staje pod domem z prawej i przyciska się do niego*).

Julia.

I cóż? dla czegoż pan stanąłeś tak pod domem jak słup nieruchomy?

Herkules *(śmiejąc się zbliża do Julii:)*

Ale bo moje położenie jest dosyć — a nawet bardzo, — nie mogę znaleść wyrazu, pomimo całego mojego dowcipu! Nakoniec moja historya podobna do opowiadania panny, jak dwie krople mleka nie fabrykowanego (*rozwidnia się:*)

Julia.

Jakto?

Herkules.

Bo pani jesteś bohaterką mojego romansu.

Julia.

Ja?..

Herkules.

Ty!—to jest pani.

Julia.

Co?.—byłbyś?—jesteś?

Herkules.

Anatol.

Julia.

I masz mię za występną?

Herkules.

Nie,—ja cię sądzę po prostu tylko zbrodniarką.

Julia.

A jeżeli powiem, że człowiek, który napisał do ciebie żem cię opuściła, — oszukał cię nikczemnie.

Herkules.

Co?

Julia.

Że uczynił to przez zazdrość i że natychmiast po twojem oddaleniu, napisał do mnie list, który zachowałam najtroskliwiej, jako dowód mojej niewinności.

Herkules.

Prawdęż śpiewasz mój słowiku?. Ah czuję jak olbrzymie moje podpory chwiać się zaczynają (*chwieje się:*)

Julia.

Jutro przyślę panu ten dowód.. tylko dla usprawiedliwienia się w oczach pana, bo nie chcę cię widzieć więcej.

Herkules.

Nie chcesz mię widzieć z przyczyny tego łotra, oszusta,—zbójcy! tego.. tego, nie mogę znaleść wyrazu.. ale mniejsza o to.. teraz mnie oto idzie! teraz trzeba mi twojego przebaczenia! — (*klęka:*) Ukarz mię!.. masz moje jasne, rumiane policzki!. Paulina! zmień mię w murzyna twojemi pulchniutkiemi łapeczkami.

Julia.

Zapominam twoich przewinień!

Herkules (*z radością:*)

Oh!.

Julia.

Ale przebaczyć czy je nigdy!

Herkules.

Ah! proszę'. błagam!.

Julia

Nie, panie Anatolu, moje postanowienie nie wzruszone! bo już nie kocham pana.

Herkules (*wstając:*)

Oh! to nieprawda!

Julia.

Tak pan sądzisz?

Herkules.

Nie nosi się przez pięć lat, pięć miesięcy i pięć dni, pamiątki, którego się nie kocha! (*pokazuje bransoletkę i medalion:*)

Julia (*zawstydzona:*)

Wstydź się mości panie!. jak można tak nadużywać chwil zemdlenia? Jesteś pan szkaradnym i niebezpiecznym (*chce odebrać:*)

Herkules (*cofa zręcznie:*)

To mi przypomniało moje lata dziecinne. (*chowa go do kieszeni:*)

SPIEW NUMER VII.

(*Szczerze:*) Czy ty pamiętasz gdy po pięknym błoniu,
Biegliśmy wraz w zielone gęstwy drzew,
Chwytać ptaszynę która w swem ustroniu,
Dźwięcznie nuciła miłosny swój śpiew.

Julia (*obojętnie:*)

Ah ja pamiętam, zgasłe szczęścia chwile,
(*Wesoło:*) Lecz ucichł śpiew, tak jak przeminął czas,
(*Zalotnie:*) Bo zapomnienia któż się oprze sile,
Gdy głosy serca, zamilkły już w nas!

Herkules (*ze łzami prawie.*)

A więc dobrze odjadę'. zaangażuję się na okręt, popłynę do Eskimosów, którzy zjedli Franklina (*chce odejść:*) Życz mi panna dobrego apetytu!

SPIEW TENŻE SAM.

Julia.

Ach ja pamiętam zgasłe szczęścia chwile,
Choć umilkł śpiew, tak jak przeminął czas,
Lecz któż miłości nie ulegnie sile,
Tej której serce ozwało się wraz.
(*Razem:*) Którą dwa serca przemówiły wraz?

Herkules (*u nóg Julii.*)

Oh! miłości! oh kochanie! tyś dla mnie, tyś dla mnie... nie mam wyrażenia.

Julia.

Powstań i wracajmy do siebie.

Herkules (*biorąc ją pod rękę.*)

Tak, tak, pójdziemy do domu! (*prowadzi ją do jej drzwi i puka:*)

Julia.

(*Zatrzymuje go i wskazuje na przeciw na drzwi domu:*) Każde z nas do swego!

Herkules (*zasmucony.*)

Ach! (*cofa się:*)

Julia.

Jutro przyjdziesz pan z wielką ceremonią w żółtych rękawiczkach, prosić ciotkę o moją rękę!

Herkules (*biorąc ją za rękę.*)

Już ją mam.

Julia. (*odpycha go z lekka.*)

Tak trzeba! proszę być posłusznym, idź do siebie! (*wraca do swoich drzwi.*)

Herkules.

(*wchodzi, kiedy ma zapukać wraca nagle na środek.*)

Ach myśl przedziwna jedyna, komu z nas prędzej otworzą, — ten udzieli gościnności drugiemu.

Julia.

Nic z tego, — a potem pamiętaj!..

SPIEW OSTATNI.

(*Muzyka jak śpiew 6ty.*)

Jul a (*śpiewa.*)

Ze nie łatwo w'skarb jedyny,
Biednych obdarza.
A gdy serca chcesz dziewczyny.
Stań u ołtarza!...
Ah, ah, ah, ah, ah. itd.

(*podaje rękę Herkulesowi, on ją całuję. — Julia mówi do niego z westchnieniem:*)

Do jutra!

Herkules.

W kanarkowych rękawiczkach!—(*każde udaje się do swoich drzwi, które się otwierają, przesełają sobie ukłony i całusy.*)

Zasłona szybko spada.

KONIEC.

CHRYSTUS I DZIECIĘ.

Wonczas, gdy Chrystus Pan przebywał na ziemi, prześladowany i ścigany od złych ludzi, domagających się Jego śmierci, szedł razu pewnego samotny po polu, płacząc i wyrzekając nad zatwardziałością serca ludzkiego. Słońce piekło straszliwie. Zbawiciel siadł pod dębem, opuścił głowę, zakrył twarz rękami i mówił:

— O ludzie! — ludzie! — kiedyż się poprawicie? — kiedyż litość i miłość bliźniego wstąpi w wasze serca? Wołałem do was: Jestem głodny! odmówiliście mi pokarmu; wołałem: Jestem spragniony! nie podaliście mi napoju; wołałem: Nie mam schronienia! A nikt nie zaprowadził mnie pod dach swego domostwa. O ludzie! ludzie! kiedyż więc usłuchacie głosu cierpiących i nieszczęśliwych!

Pan zamilkł i gorzko zapłakał. Po tem głęboka nastąpiła cisza. — Zdawało się, iż strudzony, zbolały, — zasnął Pan Swiata. Nie spał on, — czuwał, zanurzony w gorzkiem zamyśleniu.

Po chwili uczuł rękę lekko dotykającą Jego świętego ramienia. Podniósł głowę — spojrzał. Stało przed Nim dziecię nędzne, wychudłe, mizerne, szpetnej powierzchowności. Jedną ręką podnosiło róg swej odzieży, w drugiej trzymało gliniane naczynie. — "Dziecię, — kto jesteś — czego żądasz?" zapytał Pan: "Jestem synem biednego rolnika. Słyszałem jak wołałeś przed chwilą; jestem głodny! — jestem spragniony! nie mam schronienia! Pobiegłem więc do chaty ojcowskiej i wziąłem kawałek chleba, abyś jadł i posilił się.

I dziecię wskazało Mu kęs chleba ukryty w fałdach sukienki.

— Wziąłem także garneczek, aby cię napoić wodą, której zaczerpnę w pobliskim strumieniu. A gdy się posilisz i orzeźwisz, ponieważ niemasz na noc przytułku—pójdź, zaprowadzę Cię do naszej chaty, — tam sporządzę Ci posłanie z liścia i słomy. — Pójdź odpoczniesz i zaśniesz.

Wtedy Zbawiciel powstał, i wzniósłszy

nad dzieciną Boskie Swe ręce rzekł:

— Bądź błogosławiony synu: a wraz z tobą niech będą błogosławieni wszyscy, których serca twemu są podobne, Jutro, gdy uczniowie moi zapytają mnie: Nauczycielu, gdzież obchodzić będziem święta Paschy?... odpowiem im. W przytułku litości i miłości bratniej; i poprowadzę ich do chaty twego ojca.

Potem wziął chleb i mówił:

— A oto jest chleb który rozdzielę pomiędzy uczniów, mówiąc im: jedzcie i pożywajcie — ten ci bowiem jest chleb miłosierdzia.

Następnie wziął dzbanek i mówił:

Napoję z niego uczniów moich i r[illegible] im: pijcie — ten ci jest bowiem napój miłosierdzia.

I zapytał Pan:

— Gdzież jest strumień, o którym mówiłeś?

— Tu — obok w wydrążeniu skały odpowiedziało dziecię.

— Prowadź mię, rzekł Pan.

Dziecię go prowadziło — Pan stanął nad strumieniem, a wskazując na czystą wode błyszczącą w wydrążeniu skały rzekł:

Jest to źwierciadło, w którem przeglądają się gwiazdy niebieskie; — Dziecię — przejrzyj się i ty w gwiazd zwierciadle. I dziecię pochyliło się nad krynicą — i o dziwo! ujrzało oblicze swe jaśniejące nadzwyczajną pięknością. I dotknęło się boku swego, — a niekształtne ciało jego było proste i nadobne jako trzcina. — Wykrzyknęło więc z pomieszaniem i radością:

- Cud! cud! Jakimże sposobem stał się ten cud wielki?

Pan rzekł błogosławiąc je znowu:

— Dziecię moje — jest to cud miłości bratniej — i cud ten zawsze powtarzać się będzie względem wszystkich, tobie podobnych. Zaprawdę powiadam ci — jeżeli są szpetni — miłość ich upiękni, — jeżeli są pochyleni i niekształtni, — miłość ich wyprostuje i nadobnymi uczyni. Miłujcie się nawzajem — czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą — módlcie się za tych którzy was prześladują.
